

GONIĄC "AMERICAN DREAM"

W mijającym tygodniu Biały Dom gościł prezydenta Węgier Victora Orbana. Jak na styl gospodarza - raz wyniosły, innym razem rubaszny - to wspólny wywiad obu prezydentów można zaliczyć do udanych. Donald Trump pochwalił przywódcę Węgier za jego wkład w sojusz strategiczny z Ameryką oraz za sukcesy w ochronie granic swojego kraju. Wspomniał też mimochodem o pomocy wspólnotom chrześcijańskim na całym świecie. Skądinąd wiadomo było, że głównym celem wizyty Orbana była amerykańska oferta sprzedaży broni (w tym myśliwców wielozadaniowych) na preferencyjnych warunkach. Nikt nie może rzecz jasna powiedzieć, co było w głowie obu wysoko postawionych rozmówców. Nie jest wcale wykluczone, że jeden drugiemu czegoś zazdrościł. Victor Orban chciałby być może władać tak kolosalnym mocarstwem i mieć tak imponującą gospodarkę jak gospodarka Stanów Zjednoczonych. Z kolei można być pewnym na 100%, że prezydent Donald Trump chciałby mieć Stany tak podporządkowane sobie, jak to jest w przypadku Węgier i ich autorytarnego szefa państwa. Jak przyznają liczni politolodzy w ciągu dziesięciu ostatnich lat prezydent Orban zdołał zniszczyć prawie wszystkie tradycyjne instytucje liberalnej demokracji w swoim kraju. Ostatnim klockiem w tym dominie było dzieło Georga Sorosa - Uniwersytet Środkowej Europy, który dostał nowy adres "na wygnaniu" w Wiedniu. O takich sukcesach Trump może jedynie pomarzyć. Amerykańskie sądy wciąż są niezależne, Kongres Stanów Zjednoczonych nie zamierza rezygnować ze swoich kompetencji nadzorczych, a szereg organizacji pozarządowych i samorządy lokalne kierują się głównie własnymi interesami. Szkoły wyższe robią co chcą. W przeciwieństwie do Węgier, dylemat co jest ważniejsze: prawo czy tzw. "wola ludu" jeszcze nie został w USA rozstrzygnięty i Donald Trump pomimo swoich buńczucznych Twitów dobrze o tym wie.

13 maja w Stanach Zjednoczonych okazał się dniem feralnym dla nowojorskiej giełdy. Notowania Dow Jones tego dnia obsunęły się ni mniej ni więcej "tylko" o 610 punktów, a jak mówią specjaliści oznacza to, że z naszej planety w kilka godzin wyparował JEDEN TRYLION dolarów. Jest to bezpośredni efekt wojny celnej rozpoczętej przez Donalda Trumpa przeciw Chinom, a jak twierdzą inni specjaliści, także przeciw kieszeniom amerykańskiego podatnika. Aktualnie do znanych krajowych kłopotów pana prezydenta dochodzi kilka "gorących kartofli" na arenie międzynarodowej. Po pierwsze - Iran będący od kilku tygodni na celowniku rakiet VI Floty Stanów Zjednoczonych. Po drugie - Chiny w roli trudnego partnera, od czasu do czasu uciekającego się do gróźb natury militarne. Po trzecie - Wenezuela, będąca dla Pentagonu nowym bolesnym dylematem: czy lepiej wysłać po staremu dobrze znanych Marines, czy dopuścić do kilkuletniej wojny domowej blisko miękkiego podbrzusza Stanów, co byłoby cichą zgodą na obecność Rosjan w średniej wielkości kraju pokrytym w połowie dżunglą mogącego łatwo zostać latynoskim Wietnamem. Po czwarte - Korea Północna testująca swoje pociski balistyczne, tak jak gdyby zeszłoroczne uśmiechy towarzysza Kima i prezydenta Trumpa nic nie znaczyły. Dobrze poinformowani eksperci wojskowi wysuwają tezę, że ostatnie bardzo nagłościone spotkanie Kima z Putinem w nadgranicznym rosyjskim Władywostoku było pomyślane jako prztyczek w nos Donalda Trumpa. Czy do szefa Białego Domu dotarło, że nie zawsze i nie wszędzie musi być przysłowiowym NUMBER 1? Tego nikt

nie wie. Jak na razie Biały Dom zapewnia, że asertywność (z braku lepszego słowa) ekipy Trumpa przyniesie już w niedługim czasie pożądane owoce.

W jednym z niedawnych przemówień prezydent dobitnie zaznaczył, że "..... czasy, kiedy Ameryka była skarbonką-świnką dla reszty świata, już się skończyły. Do niedawna, byle kto mógł skarbonkę rozbić i żywić się krzywdą amerykańskiego świata pracy".

Ku zdziwieniu licznych jajogłowych oraz ekspertów ze wschodniego i zachodniego wybrzeża, wciąż znaczna część owego świata pracy popiera kontrowersyjnego prezydenta. Pytanie dlaczego i za co? Na pewno nie za jego klasyczne wykształcenie i piękny język. Na pewno nie za obycie towarzyskie. Na pewno nie za wzór moralności w polityce i życiu prywatnym, no i z pewnością nie za finezyjne podejście do tradycyjnych sojuszników Ameryki. Jeden z bardziej opiniotwórczych konserwatywnych krytyków Trumpa - David Frum zaryzykował tezę, że Trump dlatego został uznany i wybrany przez jedną trzecią obywateli Stanów, bo najlepiej pasuje do roli chodzącej obelgi ("insult") wobec całej dotychczasowej klasy politycznej. Być może po to został wynajęty przez mityczny "jeden procent" Ameryki tj. miliardów. Z kolei wielu Amerykanom z klasy dolno-średniej Donald Trump jawi się jako ostatnia szansa na powrót dawnej Ameryki, takiej jak sprzed wojny wietnamskiej, takiej jaka była przez większość ostatnich 200 lat. Na tej tęsknocie za znikającym w oddali "American Dream" wyrosła popularność Trumpa. Głosowanie na niego ma w sobie coś z gry hazardowej. Majątki, kariery zawodowe, a nawet styl życia są żetonami w tej grze. Uzyskanie wglądu do zeznań podatkowych Donalda Trumpa (nawet jeśli do tego dojdzie), nie musi być wcale aż takim szokiem jak się sądzi dla borykającej się z własnymi kłopotami finansowymi klasy średniej. Okrzyki oburzenia będą się głównie rozlegać po stronie liberałów i lewicy, co zresztą dla przeciętnego Amerykanina oznacza jedno i to samo. Jak już nieraz było w historii, jedna elita oskarża drugą elitę o... elitarność i wszystko co najgorsze. A świat kręci się dalej.